

Sławomir M.
Nowinowski
Jerzy Giedroyć
w 1946 roku

słowo/obraz terytoria

Karolinie

Hagiografowie nie lubią łamać schematów. Bohaterowie ich opowieści zwykle najprostszą drogą zdążają do obranego celu, zręcznie omijając czyhające na nich pułapki lub pokusy. Dokładają starań, aby od razu było wiadomo, kto był dobry, a kto zły, kto zawsze miał rację, a kto nigdy mieć jej nie mógł. Proponują czytelnikowi magiczne okulary, dzięki którym bez trudu dostrzeże trajektorie myśli lub naturalną sekwencję zdarzeń. Czasami jednak muszą zaprasować zagniecionie kanty życiorysów, a w ostateczności nawet puścić w niepamięć niewygodne fakty. Z perspektywy hagiografów wszystko jest oczywiste, a przynajmniej takie im się zdaje.

Klio natomiast uwielbia paradoksy. Szczególnym sentymentem darzy na przykład wojska, w których nie tylko pachnie prochem, lecz także skrzypią stalówki, klekoczą maszyny do pisania i łomoczą drukarskie prasy. Ma również niezwykłą słabość do ludzi na rozstajach. Zna bowiem konsekwencje nieopatrzego kroku. Zdaje sobie sprawę, jak wiele zależy od przypadku. Nawet wszystko.

Po zakończeniu II wojny światowej Jerzy Giedroyc (tak jeszcze wtedy zapisywał swe nazwisko) znalazł się w sytuacji granicznej. Świadomość tego była dostatecznie silnym motywem, aby zająć się tym właśnie aspektem jego biografii. Wypada dodać, że istniały także inne, choć nie do wszystkich zaraz trzeba się przyznawać. Wystarczy wskazać jeszcze jeden: obecność w zasobach Archiwum Instytutu Literackiego w Paryżu setek, jeśli nie tysięcy listów pisanych i otrzymywanych przez Jerzego Giedroycia w latach 1944–1947. Pozwalają one rozpoznać okoliczności, w jakich dokonał on wyboru, który zdeterminował jego dalsze losy. Uzmysławiają charakter dylematów, jakie

przyszło mu rozstrzygać. Dają pewne wyobrażenie o skali emocji, jakie wówczas przeżywał. Dostarczają wreszcie istotnych wiadomości o ludziach, z którymi się przyjaźnił, współpracował, toczył spory.

Korespondencja, zwłaszcza prywatna, to niezwykle sugestywny materiał źródłowy. Zawarty w niej przekaz zwykle nie sprowadza się do prostej wymiany informacji. Nie pozostawia on czytelnika obojętnym, nawet jeśli dystans czasowy pomiędzy napisaniem listu a jego lekturą wynosi kilkadziesiąt lat. Dlatego właśnie w tekście eseju znalazło się tak wiele cytatów z pieczołowicie chronionej w Maisons-Laffitte korespondencji. Umieszczone w aneksie wybrane listy, pisane lub adresowane do pierwszo- i drugoplanowych bohaterów narracji, stanowią jej dopełnienie, a nie tylko ilustrację. W obu wypadkach uwspółcześniono jedynie ortografię oraz interpunkcję, zachowując oryginalną składnię oraz specyficzne zwroty. Zaznaczono wszelkie opuszczenia fragmentów niezwiązanych z meritum poruszanych w książce problemów. Redukcja do niezbędnego minimum aparatu naukowego nie była podyktowana względami oszczędnościowymi, lecz troską o spójność narracji i literackie walory tekstu.

* * *

Miłym obowiązkiem autora jest złożenie wyrazów wdzięczności wszystkim, którzy przyczynili się do wydania książki. Przede wszystkim kieruję je do redaktora „Biblioteki Mnemosyne” Piotra Kłoczowskiego. Gorące podziękowania składam władzom Instytutu Literackiego KULTURA, Wojciechowi Sikorze i Annie Bernhardt, za wyrażenie zgody na publikację wybranych listów z kolekcji korespondencji Jerzego Giedroycia oraz Józefa Czapskiego. Wdzięczny jestem ogromnie opiekunowi Archiwum Józefa i Marii Czapskich w Muzeum Narodowym w Krakowie, Januszowi Nowakowi, a także jego małżonce Marii za „zdeszyfrowanie” nieczytelnych dla zwykłego śmiertelnika, odręcznie pisanych listów autora *Prousta w Griażowcu* do Jerzego Giedroycia. Za wszechstronną pomoc dziękuję niezrównanemu *cicerone*

po zasobach i zakamarkach Domu „Kultury”, Leszkowi Czarneckiemu. Zawsze też mogłem liczyć na wsparcie Marii Wrede i Renaty Wójcik z Biblioteki Narodowej oraz Rafała Stobieckiego – przyjaciela z łódzkiej *Alma Mater*. Słowa podziękowania zechce również przyjąć Stanisław Rosiek.

I

Na początku listopada 1945 roku, po kilku miesiącach rozjazdów pomiędzy Londynem, Italią i Bliskim Wschodem, Jerzy Giedroyc zatrzymał się na dłużej w Paryżu. Zamieszkał w okazałym Hôtel Le Charron, przy 15, quai de Bourbon, gdzie kwaterował major Józef Czapski, szef Samodzielnego Wydziału Kultury i Prasy 2 Korpusu Polskiego. Znał go wprawdzie niespełna trzy lata (przed wojną widzieli się ledwo kilka razy), ale już po kilku miesiącach wspólnej służby w szeregach armii generała Władysława Andersa stał mu się równie bliski, jak przedwojenni przyjaciele – Roger Raczyński i Jerzy Niezbrzycki. Za jego sprawą został w czerwcu 1943 kierownikiem Redakcji Czasopism i Wydawnictw Wojskowych Armii Polskiej na Wschodzie, co pozwoliło mu znów spełnić się w roli łowcy literackich talentów i akuszerza programów ideowych. Dzięki niemu przeżywał okres intelektualnego rozbudzenia. Wprost „tarzał się w książkach”, na których lekturę w latach trzydziestych, gdy redagował „Bunt Młodych” i „Politykę”, nie miał ani czasu, ani nawet ochoty. Zapewne podzielał też opinię więźnia sowieckiego obozu jenieckiego, piszącego o towarzyszu niewoli: „Bezinteresowny do absurdu, uczciwy jak mieszkaniec Utopii, w osądach i ludzi i rzeczy niezależny od wiatru i chwili – był Czapski przede wszystkim kompasem”¹. Autora *Wspomnień starobielskich* zawsze urzekała śmiałość politycznych wizji przyjaciela, a także konsekwencja, z jaką nawet w skrajnie niekorzystnych warunkach dążył do ich urzeczywistnienia. Łatwo więc dał mu się przekonać, że powinien niezwłocznie przenieść siedzibę podległej mu placówki do jeszcze bardziej reprezentacyjnego gmachu przy

wschodnim nabrzeżu Wyspy Świętego Ludwika. Jerzy Giedroyć znalazł tam lokum również dla siebie.

W niczym nie przypominało ono przestronnego apartamentu przy ulicy Brzozowej w Warszawie, który zajmował do 4 września 1939 roku. Wyposażenie skromnego pokoju składało się jedynie z łóżka, szafy oraz etażerki. W miniaturowej kuchence nie zainstalowano nawet palnika gazowego, służyła więc za skład walizek. „Niestety – donosił Zofii Hertz – nie ma tu pieca, jest tylko kominek, ale jeśli nawet okaże się, że jest zdolny do funkcjonowania, to wcale nie jest pewne, czy można w nim palić węglem. W każdym razie jestem zadowolony, gdyż nareszcie mam jakiś własny kąt, mogłem rozpakować graty, których zebrało się nieprawdopodobnie dużo, no i książki, których mam taką masę, że nie włożą do dwóch skrzyń metalowych ogromnych. Jak mi nie przysłecie ze dwóch, trzech skrzynek amunicyjnych, to nie wiem, co będę robił w razie zmiany m[iejsca] p[ostoju]”². Wszystkie opisane w liście mankamenty *pied-à-terre* wydają się mało istotne, jeśli zważyć, że znajdowało się ono na poddaszu Hôtel Lambert.

Doprawdy, trudno sobie wyobrazić lepsze miejsce na inaugurację nowego etapu emigracyjnej epopei Jerzego Giedroycia. Chociaż niezamieszka od wielu lat rezydencja księcia Adama Jerzego Czartoryskiego mocno podupadła pod względem materialnym, to jednak w aspekcie symbolicznym wciąż nie mógł się z nią równać żaden z „polskich” adresów nad Sekwaną. Jej nowy lokator darzył „niekoronowanego króla Polski” wielką atencją. Rzecz jasna, nie za anachroniczny (już w chwili sformułowania) program uregulowania stosunków społecznych i politycznych w wyzwolonej spod władzy zaborców ojczyźnie. Widział w księciu Adamie prekursora myślenia o Rzeczypospolitej jako istotnym elemencie porządku europejskiego. Cenił za konsekwencję, z jaką przypominał on nie tylko dworom i rządowi, lecz także opinii publicznej Starego Kontynentu, że jej prawa zostały pogwałcone. Podziwiał wreszcie za koncept prezentowania polskich dążeń niepodległościowych w szerszym kontekście – walki o wolność ludów i narodów ujarzmionych przez rosyjski imperializm.

Po latach twierdził, że jeszcze przed zakończeniem II wojny światowej nosił się z zamiarem stworzenia wspólnie z Rogerem Raczynskim i Piotrem Dunin-Borkowskim „małego Hôtel Lambert”, oddziałującego – przede wszystkim przez kontakty towarzyskie – na obce środowiska polityczne. Przedwczesna śmierć obu dyplomatów pokrzyżowała jednak te plany³. Sztynch z podobizną Xięcia zaś Jerzy Giedroyć powiesił na poczesnym miejscu w swym gabinecie w Domu „Kultury” przy 91, avenue de Poissy w Maisons-Laffitte. Przez sentyment czy wciąż dla inspiracji?

Publicyści emigracyjnych gazet i periodyków, wydawanych po klęsce wrześniowej we Francji, Wielkiej Brytanii, Italii oraz na Bliskim Wschodzie, nader często nawiązywali do losów dziewiętnastowiecznego wychodźstwa polskiego. Jedni czynili to ku przestrodze. Druzy, by wpisać własne doświadczenie w bezlitosną „logikę” dziejów ojczyźnych. Jeszcze inni – z nadzieją na znalezienie recepty pozwalającej uniknąć kolejnej narodowej katastrofy, lub chociażby antidotum pozwalającego na jej przetrwanie. Pod koniec wojny przekonanie o konieczności przejścia obowiązków, jakie ongiś spoczywały na barkach Wielkiej Emigracji, stało się nagminne. Jednym z nielicznych głosów sprzeciwu wobec skutków terroru tego patriotycznego frazesu był pamflet Olgierda Górki *Psychoza „Wielkiej Emigracji”*.

„Emigrancka inteligencja obecnej chwili – pokpiwał jego autor – niemal już jest gotowa by rozdzielać między siebie «za życia» posady dziejowe nie tylko Mickiewiczów, Słowackich, ale także Lelewelów, Mochackich itd. Brak nam na razie hrabiego Krasieńskiego, ale sądzę, że i taki z czasem podrośnie”. Historyk (notabene noszący za młodu legionowy mundur) nie potrafił doszukać się analogii pomiędzy wychodźstwami z 1831 i 1939 roku. Wskazywał za to na podobieństwa tego ostatniego z „białą” rosyjską emigracją po roku 1917. Dysponowała ona również okazałymi atutami militarnymi, w postaci floty czarnomorskiej kotwiczącej na redzie Bizerty oraz ewakuowanej z Krymu stutysięcznej armii generała Piotra Wrangla. Nie brakowało w niej także ludzi utalentowanych, a nawet cieszących się

szacunkiem polityków państw Ententy. „Wszystko to rozplynęło się w niebycie politycznym w ciągu lat 20 – konstatował – wsiąkło w dziesiątki innych narodowych społeczeństw, pozostawiając na powierzchni politycznej świata grupki starców bez znaczenia i młodzież zwąca się dawnymi Rosjanami, ale solidaryzującą się duchowo z heroizmem czerwonej armii i rolą dziejową Stalina. Gdzieniedzie, od czasu do czasu, przewija się z tego 2-milionowego świata po bruku warszawskim szlachetna postać tak niepospolicie inteligentnego Filosofowa, lub opinia europejska obudziła się na chwilę, na jedną notatkę dziennikarską wobec wiadomości, że tytan rewolucji rosyjskiej Sawinkow, wróciwszy dobrowolnie do Rosji Sowieckiej, rzucił się samobójczo z 4 piętra, gdy strażę przeprowadzały go na śledztwo”⁴.

Śladów lektury *Psychozy „Wielkiej Emigracji”* próżno szukać w listach i notatkach Jerzego Giedroycia z tego okresu. Zachowany w bibliotece Instytutu Literackiego oprawny rocznik periodyku, na którego łamach artykuł opublikowano, nie może więc służyć za świadectwo znajomości zawartych w nim tez. Nie ulega jednak wątpliwości, że redaktor „Buntu Młodych” i „Polityki” na tyle dobrze poznał w latach trzydziestych dramat „białej” rosyjskiej emigracji, że w połowie następczej dekady nie potrzebował pomocy Olgierda Górki, aby dostrzec w nim groźne memento. Nie zamierzał naśladować desperackich gestów lidera eserowców, choć jego imię zawsze otaczał prywatnym kultem. Za bardziej skuteczne uważał jednak metody działania gospodarza „Domku w Kołomnie”.

Decyzję o pozostaniu na emigracji Jerzy Giedroyć podjął jeszcze w drugiej połowie roku 1944, gdy stało się oczywiste, że Europa Środkowo-Wschodnia znajdzie się w sowieckiej strefie wpływów. Nie miał żadnych złudzeń co do intencji Josifa Wissarionowicza Stalina. Teorię komunizmu uważał za nie do pogodzenia z kulturą europejską, a jego praktykę – za zbrodniczą. O to, jaką postawę winni przyjąć Polacy w tak tragicznym momencie dziejowym, toczył w listach spory z Rogerem Raczyńskim, sprawującym wtedy funkcję pośła RP

przy emigracyjnym rządzie greckim. Nie trafiały mu do przekonania argumenty przyjaciela, który obawiając się zagłady biologicznej substancji narodu polskiego, opowiadał się za podjęciem próby porozumienia z Kremlem, nawet za cenę przejściowej utraty kresów wschodnich. Nie od razu też skłonny był się z nim zgodzić, gdy przestrzegał przed aktami rozpacz, które poza „przyjemnością pozy na bohaterstwo” mogą jedynie przyspieszyć sowietyzację Polski. „Samobójstwo – tłumaczył dyplomata – popełnić samemu człowiekowi ostatecznie wolno. Człowiek jest ostatecznie panem w łasnego losu. Czy się ma prawo ryzykować samobójstwo narodu – dla najpiękniejszego gestu to jest pytanie – nad którym warto się zastanowić, i mam wrażenie, że się na nie musi odpowiedzieć – Nie!”⁵.

W pierwszych dniach sierpnia 1944 roku Jerzy Giedroyć gotów był ponieść śmierć, towarzysząc generałowi Kazimierzowi Sosnkowskiemu w skoku spadochronowym do walczącej stolicy Polski. Nie wierzył w sens, ani tym bardziej w sukces powstania. Uważał jednak, że mit, którym będą się karmiły przyszłe pokolenia, wymaga, aby „obok trupów żołnierzy Armii Krajowej znalazły się także «Poland’y» żołnierzy polskich walczących na Zachodzie”⁶. Naczelnny Wódz nie myślał jednak tymi kategoriami. W listach i dokumentach Jerzego Giedroycia z pierwszych lat powojennych nie ma natomiast nawet nikłego przejawu aprobaty dla prowadzonej w Europie Środkowo-Wschodniej walki zbrojnej ze Związkiem Sowieckim lub ustanowionymi przez niego reżimami komunistycznymi. „Nie jestem entuzjastą emigracji i prowadzę swoją polityczkę na boku całkowicie niezależnie – wyjaśniał Janowi Frankowskiemu – ale wydaje mi się, że cała emigracja, z wyjątkiem niepoczytalnych jednostek, jest przeciwna jakimkolwiek tendencjom czy odruchom powstańczym”⁷. W rzeczy samej po hekatombie Warszawy i ogłoszeniu postanowień konferencji jałtańskiej przywódcy wychodźstwa bez rozgłosu zrezygnowali z widniejącego na sztandarach dziewiętnastowiecznej emigracji hasła wiecznej irredenty. Ideą przewodnią miał pozostać legalizm, gwarant zachowania ciągłości władzy państwowej⁸.

To, że Polacy przebywający na Zachodzie opowiedzą się za nim, uważano za oczywiste. „Ale czy Kraj – pytał w diariuszu Tadeusz Kattelbach – po tylu zawodach, mając na co dzień do czynienia z narzuconym reżimem, dochowa wierności legalnemu rządowi nad Tamizą, którego pole działania będzie z natury rzeczy ograniczone? Bo nie chodzi przecież o to, by rząd Arciszewskiego był rządem bezpieczeństwa! To sprawa względnie prosta. Ale chodzi o to, żeby ten rząd pozbawiony egzekutywy, spełniający w wolnym świecie rolę ambasadora milczącego z konieczności narodu, był przez niego uznany za jego rząd, pod względem prawnym, ideowym, moralnym, słowem za rząd jedyny. [...] Tak czy owak, musimy być moralnie silni. Bo jeśli się na to nie zdobędziemy, nasz legalizm stanie się rekwiizytem «pobożnych życzeń» bezpieczeństwa, oderwanych od rodzinnego Kraju, umierających na obcej ziemi w błogim przekonaniu, że do końca pozostali wierni sztandarowi niepodległości Polski”.

Niezgoda na niewolę ojczyzny była najważniejszym, ale nie jedynym motywem odmowy Jerzego Giedroycia powrotu do Polski. Jego antysowiecka orientacja polityczna nie była bowiem tajemnicą ani przed 17 września 1939 roku, ani po nim, mógł więc spodziewać się represji. Przewidywał wreszcie, że w kraju nie będzie miał żadnej możliwości prowadzenia działalności politycznej. A przecież to głównie ona nadawała sens jego życiu.

II

Jeszcze kilka miesięcy po wyzwoleniu Paryż jawił się tym, którzy znali go wcześniej, dziwnie smutny i zaniedbany. Po ulicach i nabrzeżach wałęsały się tłumy amerykańskich i brytyjskich żołnierzy. Ich schludne mundury kontrastowały ze skromnymi sukienkami Francuzek i znoszonymi garniturami Francuzów. Panowała drożyzna, brakowało opału, a żywność była dla wielu tak trudno dostępna, że powszechnie domagano się jej ponownego racjonowania. Niedogodności życia codziennego w istotny sposób wpływały na nastroje społeczne. W pierwszych wyborach parlamentarnych triumfowali komuniści, zdobywając przeszło 26 procent głosów. W kręgach intelektualnych ich wpływy były jeszcze większe.

Wielu Polakom nieznacznie tylko dotknięta zniszczeniami wojennymi metropolia mimowolnie przywodziła na myśl ruiny i zgliszcza Warszawy. Widzieli w Paryżu koronny dowód niesprawiedliwości dziejowej. Gniewnie reagowali na widok przytwierdzonych tu i ówdzie do murów tabliczek z imionami i nazwiskami cywilów lub żołnierzy, upamiętniających miejsca, w których zginęli, walcząc o wolność Francji. Niektórzy utrzymywali nawet, że gdyby każdy poległy lub zamordowany na Woli, Żoliborzu czy Starym Mieście został w ten sposób uhonorowany, to „moglibyśmy z samych płytek nagrobkowych odbudować pół stolicy”¹.

Dokonująca się zmiana postawy społeczeństwa francuskiego wobec *Résistance* interesowała również Józefa Czapskiego, ale bynajmniej nie skłaniała do wypowiedzania się z pozycji Katona. Nie odbierała także radości obcowania z Paryżem. Był nim urzeczony, w nie

mniejszym stopniu niż wtedy, gdy stawiał tam pierwsze samodzielne kroki jako malarz. W sążnistym (i jak zwykle ledwo czytelnym) liście donosił Jerzemu Giedroyciowi: „jakże ja się tu czuję w bardziej własnej skórze. Cały ten list piszę *en bras de chemise* w Dômie na Montparnassie na skromnej kanapie, na której siedziałem niezliczone razy 20–15 lat temu”². Nic więc dziwnego, że zrywał się na Gustawa Herlinga-Grudzińskiego, gdy ten po zaledwie kilku dniach spędzonych nad Sekwaną w listopadzie 1945 roku opublikował w najważniejszym periodyku 2 Korpusu Polskiego zapis nieskazonych empią obserwacji.

Zakochany w Italii redaktor działu literackiego „Orla Białego” od razu dostrzegł w spojrzeniach pasażerów paryskiego metra „gorzką świadomość przegranej, obojętność na całą tę powojenną kakofonię pozorów nowego wspaniałego świata, dumę zadraśniętą poczuciem nierówności”. W lot odgadł, że przesadna służbistość francuskich policjantów wobec cudzoziemskich żołnierzy wynika z kompleksu niższości. Nieskorzy do zabawy bywalcy nocnych barów, „kobiety o głupkowato kokieteryjnych uśmieszkach, mężczyźni oparci o ściany jak o latarnie” przypominali mu ludzi spotykanych na sowieckich dworcach. Czekali tam na zelżenie mrozu, a nie na przyjazd pociągu. Najbardziej zbulwersował go jednak obraz, jaki zobaczył po przestąpieniu progów ulubionej przez egzystencjalistów Café de Flore: „Jacyś brudasi o błędnym spojrzeniu i o rozwichrzonych włosach, a wokół nich rój rozwydrzonych egerii. Pachnie to wszystko mieszaniną Freuda, Lindsaya i najokropniejszej bohemy. Ta przeintelektualizowana dzicz uprawia na gruzach Europy filozofię, którą mój nowy znajomy, świetny znawca i miłośnik Francji, Andrzej Bobkowski, zestrzelił z wyżyn snobizmu dowcipnym powiedzeniem: «Gdyby nie nadzieja, że człowiek umrze, nie warto byłoby żyć»”³.

Powierzchowne krytyki nie dawały Józefowi Czapskiemu spokoju. Jeszcze dwa lata później zachęcał Polaków do wytrwałości w poszukiwaniach Francuzów wielkiego formatu, „niesparaliżowanych strachem”. Apelowal, aby pomimo dysproporcji cierpień doświadczonych

podczas wojny przez oba narody nie zapominali, że lekceważona teraz „siostrzyca” jest jedną z najważniejszych części składowych Europy, do której przecież należy także Polska. „Musimy – podkreślał – do Francji podejść nie jak barbarzyńcy germańscy w X wieku podeszli do Rzymian, ale jak obrońcy wspólnego nam cywilizacyjnego dorobku, nie urągając wzgardliwie”⁴.

Zapisane w agendzie Jerzego Giedroycia nazwiska, adresy i numery telefonów dają jedynie mgliste wyobrażenie o jego politycznej aktywności w Paryżu. Zdawkowe notatki dotyczą głównie kwestii przyziemnych: nafty, prześcieradeł, koców. Jedynie 21 listopada uznał za stosowne zapisać pięć lakonicznych zdań: „Napisałem do Oła przez Kotta, do Eve, Zosi, Dudka, Prądyńskiej, Funarskiego, Telmanego. Przeczytałem «Kuznicę», VI tom *Les Hommes de bonne volonté*. Nigdzie nie wychodziłem. Przyjechał Jerzy z Bruxelles. Udało się rozpaść na kominku”⁵. Kiedy czyta się listy, jakie wysyłał z Paryża, można odnieść wrażenie, że prawie nie opuszczał Hôtel Lambert. Nie ma w nich żadnych odniesień do problemów, którymi żyła ulica, prasa, Konstytuanta. Jedyny refleks świadczący, że czasami decydował się na opuszczanie „rodaków koła”, to opowieść o spotkaniu w Café de la Rotonde z murzyńską prostytutką. Nie reflektował na jej propozycje, ale ponieważ wydała mu się zabawna, postawił jej aperitif i rozpoczął konwersację. „Opowiadała mi – relacjonował Zofii Hertz – o Amerykanach, że są *bons garçons*, i że Polaków jest taka masa w Paryżu. Pytam się o Moskali. Ach, mówi, ich też tu masa włóczy się po Montparnasse. Czy też są *bons garçons*? *Vous savez ils sont trop sauvages pour moi*. Myślałem, że pod stół wpadnę z radości”. Gwoli ścisłości trzeba dodać, iż wcześniej oznajmił adresatce listu: „Przyjechał tu Wraga na parę dni i szalejemy (niestety w sensie gadania i konferencji, a nie w sensie «paryskim»). Tyle mam projektów, że czuję, że mi się mózg gotuje. Jeśli zimna mnie nie ochłodzi, to na pewno zwariuję”⁶. Tylko w chwilach zwątpienia zastanawiał się, czy Wacław Alfred Zbyszewski nie ma racji, przepowiadając mu z Londynu rychłą zagładę ludzkości wskutek amerykańskich eksperymentów z bronią

atomową. Wybuch nowej wojny światowej uważał za nieunikniony, i to w bardzo krótkiej perspektywie.

Pseudonimem „Ryszard Wraga” w okresie międzywojennym sygnował swe teksty o Związku Sowieckim Jerzy Niezbrzycki, gdyż z racji służby w Oddziale II Sztabu Głównego nie mógł podpisywać ich własnym nazwiskiem. Wiele z nich ukazało się na łamach „Buntu Młodych” i „Polityki”. Wybitnie inteligentny, dobrze władający piórem, a przy tym świetnie zorientowany w realiach Europy Wschodniej oficer szybko stał się jednym z czołowych autorów tych periodyków, a z czasem również przyjacielem Jerzego Giedroycia. Wiele lat później wyznał w liście: „właściwie uważałem go za brata. (Bez deklamacji!)”⁷. Wrzesień 1939 roku położył kres zarówno karierze wojskowej, jak i ambicjom politycznym kapitana Jerzego Niezbrzyckiego. Z tym większą determinacją parał się publicystyką. W 1945 roku nakładem Oddziału Kultury i Prasy 2 Korpusu Polskiego wydał kilka broszur. Dwie pierwsze jako „Bernard Andreus”, na okładkach pozostałych polecił umieścić dawne *nom de guerre*.

Nie był zachwycony miejscem, które Jerzy Giedroyć i Józef Czapski wybrali na swą kwaterę. Wypominał im potem, że musieli stracić zdrowie oraz mnóstwo pieniędzy, aby wyrwać ich z tej „stęchłej i pełnej pompacyjnych wspomnień bez treści nory”, w której zagrzebali się „ze Słowackim, Dostojewskim i resztą podejrzanych indywiduów”. Wzywał ich do niekontentowania się rolą *l o k a t o r ó w* Hôtel Lambert, kultywujących dorobek postaci historycznych, a przy tym nie dość pewnych wartości własnych dokonań. Ostrzegął przed pułapką elitaryzmu: „nie róbcie ze siebie papierowych ko-chanków polityki. Nie szukajcie geniuszy, nie lekceważcie szarych, prostych ludzi. Nie słuchajcie z rozdziawionymi twarzami pięknoduchów, proroków, marzycieli, idealistów. Zadawajcie się z drania-mi, łobuzami, prostytutkami, alfonsami, ale wiedźcie coś więcej o życiu, niż można to dojrzeć przez okno pokoju Jerzego czy nawet Twoje, z widokiem na most, przez który nigdy historia nikogo nie potaszczy”. Obiecali poprawę, lecz próba wyjścia z intelektualnego

koła kredowego pomimo wskazówki (nie mówić nic o Marksie, Pi-cassie ani dziejach papieżstwa, za to wiele o czarnym rynku) zakończyła się... jak zawsze. Jerzy – ironizował „Ryszard Wraga” – schował się, wychodząc z założenia, „że skoro wypowiedzi faceta nie dadzą się zastenografować i wydać natychmiast na welinie”, to szkoda dla niego czasu, który można spożytkować na wymyślenie kolejnego projektu nr 378.353.189⁸.

W istocie, inwencja Jerzego Giedroycia zawsze stanowiła nie lada jakie wyzwanie dla jego przyjaciół i współpracowników. W Paryżu zaś „genialne plany” znów sypały się z niego niczym z rogu obfitości. Szanse na ich realizację były jednak niewielkie. Ministerstwo Informacji i Dokumentacji (którego urzędnikiem wciąż pozostawał, podlegając zarazem dowódcy 2 Korpusu Polskiego) po wycofaniu przez mocarstwa uznania rządowi RP na uchodźstwie musiało drastycznie ograniczyć swą aktywność. Nawiasem mówiąc, w ocenie radcy w Departamencie Kontynentalnym ludzie, w których rękach znajdował się wówczas „depozyt niepodległości”, zasługiwali wprawdzie na szacunek, ale z pewnością nie ze względu na szczególnie rozwinięty zmysł polityczny. On sam natomiast (choćby z racji wieku oraz braku afiliacji partyjnej) nie był przez nich postrzegany jako potencjalny partner. Znalezienie przez Jerzego Giedroycia zatrudnienia w jednej z istniejących lub pospiesznie powoływanych placówek kulturalno-oświatowych także nie rozwiązywało problemu. Wyjściem z sytuacji było jedynie objęcie przezeń kierownictwa stworzonej od podstaw niezależnej instytucji – instytutu wydawniczego.

Pilną potrzebę powołania takiej placówki nad Tybrem Jerzy Giedroyć sygnalizował na początku 1945 roku generałowi Władysławowi Andersowi. Nie spotkał się ze zrozumieniem. W drugiej połowie roku usiłował więc zainteresować projektem przedsięwzięcia swego cywilnego zwierzchnika – ministra Adama Pragiera. Zasugerował utworzenie już nie jednej, lecz dwóch oficyn wydawniczych – w Rzymie i w Paryżu. Pierwsza miała nie tylko przyjmować wszelkie zamówienia politycznych i wojskowych władz RP na uchodźstwie, lecz także